



BIAŁY PAW

BIULETYN LITERACKO-ARTYSTYCZNY

R. 1926 WARSZAWA, Nr 4 — WRZESIEŃ

VARSOVIE — PLAISIR.

CO CHWILA TO Z INNYCH MIAST RZECZYPOSPOLITEJ DOCIERA DO NAS JAKIEŚ TĘTNO DUSZY. TU DOWÓD WIELKIEGO PATRJOTYZMU, OWDZIE ZNAKOMITY WYSILEK TEATRALNY, GDZIEINDZIEJ OPIERA SIĘ MĘŻNIE ROZBICIU OPERA, TAM ZNOWU Z MIELIZN WYRASTAJĄ SZLACHETNE „SZTUKI PIĘKNE” LUB „JEDNORÓG”, LUB JESZCZE INDZIEJ — PRZYTUŁEK ZNALAZŁA „REDUTA”, SŁOWEM, STOLICA NIE ZAGARŃĘŁA BYNAJMNIEJ W MOPOL — ŻYCIA KULTURY.

ONA SIĘ GO NAWET GOTOWA WYRZEC I WOBEC SWEJ WIELKIEJ PRZYSZŁOŚCI MIASTA KOSMOPOLITYCZNEGO I OKAZAŁEGO, WOBEC ZACHŁANNOŚCI KAPITAŁU ZAGRANICZNEGO, WOBEC POTRZEBY OBSŁUGIWANIA GOŚCI Z ZACHODU TAŃCEM I WESELEM, CAŁA ENERGJA GRODZKA IŚĆ BĘDZIE NA ULEPSZENIE STRONY ZEWNĘTRZNEJ ŻYCIA I NA BLASK REPREZENTACYJNY.

NALEŻY SIĘ POZBYĆ ZŁUDZENIA, ŻE TU JAKIEŚ DRZEWO WYŻSZEJ KULTURY ZAPUŚCI KORZENIE, JAK W PARYŻU. TU NIEMA GRUNTU I NIC NIE MOŻE BYĆ GRUNTOWNEM. BĘDZIEMY PARYŻANAMI TYLKO OD STRONY VARSOVIE — PLAISIR. NIE TRZEBA PRZETO, ABY BRACTWO ARTYSTÓW I LITERATÓW CZEKAŁO, ZE ZŁAMANĄ WOŁĄ I POCHYLONEMI PLECAMI, Z NEURASTENJĄ DUSZY I CIAŁA — NA JAKIEŚ ZBAWIENIE, REFORMĘ, OBJAWIENIE SYNAJSKIE, OD KTÓREGO ROZPOCZNIE SIĘ LEPSZY BYT DLA UMYSŁU. TO NIE NASTĄPI.

ALE POZOSTAJE CAŁY NIEZMIENIONY ŚWIAT PROWINCJI I DZIELNIC, GDZIE SĄ WIELKIE ZABYTKI, SŁAWNE TRADYCJE I POCHOWANE PO KĄTACH ŚMIESZNE ORYGINAŁY, KTÓRE KUPUJĄ OBRAZY I KSIĄŻKI, CZYTAJĄ PISMA NIEPOLITYCZNE I INTERESUJĄ SIĘ WSZYSTKIEM, CO PRZYNOSI NIEUSTAJĄCY RYTM OCEANU DUCHA.

TRZEBA PAMIĘTAĆ I TO WZIĄĆ ZA KOMPAS. NIE W CAŁEJ POLSCE LITERATURA STAŁA SIĘ SPRZEDAJNĄ TANDETA. NIE W CAŁEJ POLSCE LITERATURĘ ZŁOTĄ ZLUZOWAŁA — GROSZOWA. NIE W CAŁEJ POLSCE KOMBINACJE ZBANKRUTOWANEGO KSIĘGARZA UWAŻA SIĘ ZA ZDEMOKRATYZOWANIE CZYNU EDYTORSKIEGO. NIE W CAŁEJ POLSCE ZASIADŁA NA TRÓJNOGU PYTJA BŁYSKOTLIWEJ BEZMYŚLNOŚCI...

DRUGI SYGNAŁ.

Pomiędzy koła młyńskie chamstwa i brutalności, zachłannego nicestwa i rozkalkulowanej próżni, krakowska „Gazeta Literacka” wcisnęła swoje wołanie „o wspólny front literacki”.

Nie pierwszy to raz pismo to występuje w roli gałązki oliwnej pokoju i jest pełne młodych złudzeń, że w zaśmieconem i zapługawionem gruntownie targowisku głosiciel zgody i pokoju nie będzie wołającym na puszczy. „Gazeta literacka” tem właśnie zyskała pewien posłuch i sympatję, że złudzeniom się

nie broni i nie opędza. Jej stanowisko, choćby się wydawać mogło utopij-
nem i donkiszotowskim, może być w chórze skłóconych głosów harmonijnym
dzwonem. Widocznie czas już najwyższy na sygnały. Mamy wrażenie,
że „Sygnał Białego Pawia”, znacznie mniej melodyjny i z surmy bojowej
wygrzmiany, obudził pewne echa...

Grupa najmłodszych z „Gazety literackiej”, która już w artykule dawniej-
szym „Wszyscy dla wszystkich” podkreśliła swoje hasło solidarności i obywa-
telskości i na miejsce karykatury indywidualizmu proponowała zbiorowość
duchowego wysiłku, posiada talent przemawiania od serca. Jej słowa są pełne
nut szczerych i czujących; pod dobrmi artykułami autorzy nie kładą swoich
podpisów. Ton jest na chwilę obecna utrafiony i szczęśliwy i tylko repertua-
rowi pisma możnaby zarzucić powtarzanie chwaleb, imion, gustów i niewy-
bredności czyichś i cudzych, wtórowanie komuś, i trudność w znalezieniu
własnej artystycznej idei.

Wołanie o „wspólny front literacki” tchnie znacznie większą energią
i daleko niezawisłej i wyraziściej się wypowiada; kilka rozważań uderza w cel
donośniej, śmielej i filozoficzniej:

„...Społeczeństwo nasze, poczynając nagle myśleć kategorjami powojennej
Europy, pod naciskiem materializmu przegrupowuje się i przechodzi z obozu
romantycznych ideowców i myślicieli do obozu targów i spekulacji. Nie mając
za sobą żadnej tradycji na tem polu, niewprawne i niedoświadczone, nie umie
jeszcze pogodzić ze sobą tych dwu pierwiastków: materji i ducha, nie umie, tak
jak człowiek w Zachodu, poświęcać pół dnia przemianie pracy na pieniądź, a pół
dnia kulturalnej rozrywce i sztuce. Popadło przeto w ostateczność i w imię
trzeźwości zapomina o nas i ruguje nasze dzieła”.

Pod adresem zaś, niewiadomo czyim (— a może i wiadomo) padają takie
słowa:

„Trzeba więc zrezygnować z autoreklamy i kapliczkowania, które 1) ośmiesza,
2) nastraja ogół nieufnie i odstręcza od literatury, 3) dezorjentuje publiczność
w ocenie talentów i 4) tamuje rozwój twórców, tumaniąc ich i nasączając snobi-
stycznym marazmem”...

„Wołajmy o uczciwość w krytyce literackiej. Baczmy, abyśmy nie wleźli
w francuskie bagienko, w którym, się za recenzje przychylnie płaci brzęczącą
monetą”. „Czy to nie wstyd, by ludzie, mieniący się elitą intelektualną, stawali
się pośmiewiskiem ogółu, obszczekując się i opluwając, skacząc sobie do oczu
i znieważając się metodami dziennikarstwa najpodlejszego gatunku — ?”

Jeszcze sporo innych podobnych uwag i myśli przesuwają się w tym
sygnale. Szkoda tylko, że nie wszystkie są strategicznie rozumne i praktycz-
nie stosowane:

„Gdy będziemy iść ławą i apelować solidarnie do rządu i do narodu w naszych
żywotnych sprawach, napewno wyjdziemy z matni”.

Pozwalamy sobie podsunąć kolegom z „Gazety literackiej” dwa temata
do przemyślenia.

Pierwszy. Czy ważne wypadki polityczne o najbardziej nawet dodatniem
znaczeniu dla bytu państwa i narodu, niewyrzucają czasem za drzwi, na
schody, literatury i sztuki, które już przedtem wyrzucone były do przedpokoju,
jako natręty i nieużytki? Czy rząd, który z konieczności i z natury swej
musi mieć swoje *anti-intelektualne* metody działania, zechce mieć uszy
otwarte na głosy intelektualistów? Czy nie zwróci się wyłącznie do tych
pisarzy i artystów, którzy przyswoili sobie właśnie polityczne, a więc *anti-
intelektualne* metody postępowania: walczące, bezwzględne, bezskrupułowe?
Czy chwila obecna w literaturze nie jest takim właśnie „przegrupowaniem” sił?

Drugi. Czy nie należy zdać całej sprawy „wspólnego frontu” na mocną i dobrą wolę samej literatury i twórczości?

Niech „Gazeta literacka” do swoich słów — dzwoniów doda słowa — czyny, niech się zupełnie otrząśnie z czadu cudzych sugestji, zwłaszcza warszawskich, już od urodzenia podejrzanych artystycznie i etycznie.

PREZZOLINI I MUSSOLINI.

Leży przed nami książka i t. d.”. Nie, nie książka to zwyczajna, której się należy lub nie należy sprawozdanie i ocena, lecz świeci się przed nami istotna latarka. Rozświeca ona problemat Faszyzmu, w ten sposób, jak takie ważne zjawiska rozświetlać powinien umysł nie tylko politycznie i społecznie myślący, ale literacko i artystycznie wyrobiony i nastawiony.

Giesepe Prezzolini portretuje *Benita Mussolini*.

Ma do tego następujące dane: wyrobienie naukowe, jako zdolność systematycznego i porządnego myślenia. Dzięki temu książka jego daje pełnię przedmiotu, informuje wyczerpująco, wtajemnicza całkowicie: w fakt, czyn, stronę konkretną, — oraz w teorię i stronę ideologiczną.

Powtórnie: jasny świetny język, dostatecznie giętki i podatny rozległej potrzebie odcieni psychologicznych charakterystyki — człowieka i całego ruchu i kierunku.

Po trzecie: objęcie rzeczy syntetyczne i postawienie jej na tle epoki, wielkich wydarzeń powojennych. Prezzolini rozumie Europę i oczywiście rozumie i przenika głęboko swoją ojczyzną Italię. Do rozpatrzenia kwestji przychodzi szeroko i wszechstronnie widzący i przygotowany. Książka jego jest lotna i prześwietlająca jak „*Essay's*” Carlyle’a, Taine’a lub Macaulay’a, a gruntowna i rozumna jak traktat naukowy. Nasi essayści i publicyści powinni się u niego nauczyć wielu obowiązków pisarskich.

Po czwarte: Prezzolini posiada odwagę cywilną mówienia szczerą prawdą i rzadką sztukę formułowania jej tak, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie, że on się naraża władcom tego świata, zaś w pierwszym rządzie samemu faszyzmowi. Jest to ten ton poważny i przekonujący, głos mocny a równy i nie nerwowy — który budzi respekt. To nie jakiś tak zwany takt, zdolność prześlizgnięcia się: *incidit in Scyllam qui vult vitare Charybdam*. Nie, to naukowo-artystyczne poczucie miary i wyzbycie się jakiegokolwiek od kogoś zależności.

Takimi promieniami oświetlone oblicze Mussoliniego i faszyzmu okazuje się nam w całokształcie tez, które w całej swej sumie zasługiwałyby na przytoczenie w tem miejscu — gdyby to było technicznie możebne.

Oto główny, osiowy ich ośrodek: „*Mussolini to wola, a nie intelekt*. W Mussolinim znajdujemy siłę woli, górującą nad inteligencją. Jego walory intelektualne znajdują się na drugim planie”. „Wykształcenie dość powierzchowne. W artykułach czuć nieprzemysłenie”. „Lekkomyślnie stawia hipotezy i twierdzenia”. „Jego charakter, oparty na żywiole woli, odstręcza go i odpędza od liberalizmu i t. d. i t. d.

Z istotną rozkoszą czyta się te linie wyraziste i pouczające psychologa — Prezzoliniego.

„Mussolini — to impet i rozmach młodości” „*Mussolini* — to siła”. „Partja, do której wchodzi, nabiera życia; ta, którą opuszcza — obumiera”. „Mussolini działa jak prąd elektryczny”.

„Z pośród trojga ludzi, którzy wywarli wpływ na świat od czasu wojny, Wilson'a, Lenina i Mussoliniego — ten ostatni jest najmłodszym i jedynym, oglądającym jeszcze na własne oczy trwanie swego eksperymentu“... „Lenin zniknął, lecz zburzył i przeorał tak głęboko Rosję, iż nie można dzisiaj nic odbudować bez uwzględnienia tego, co zrobił“.

Ale, uznając całą potęgę zbawczą faszyzmu i twórcze znaczenie jego dla Włoch i wogóle wobec marazmu parlamentów, Prezolini widzi, że faszyzm namnożył parweniuszów, zordynarnił gusta kulturalne i artystyczne, i że nie posiada swojej ideologii. Jego teoretycy, jak filozof Giovanni Gentile, wikłają się wśród sofizmatów potępiających liberalizm; jego stosunek do świata artystów i przymierze z futuryzmem jest groteskowy, bo futuryzm Marinettiego pali przeszłość, jako graciarnię muzealną, gdy Mussolini chce odbudować tradycję rzymską.

Podaliśmy tylko parę punktów z wielkiej tablicy wartości dodatnich i ujemnych. Radzimy przeczytać ją całą. Jest przytem spolszczona wybornie (przez W. P.). W przedmowie do polskiego wydania sam autor, Prezolini, zaznacza swoje stanowisko obiektywne, i jest świadom wyżyny obserwacyjnej, na której stanął, nie związany z żadną partją. „Jedyną partją, do której się przyznaję, jest intelektualizm i inteligencja, jedynym obozem, od którego staram się odgrodzić jaknajstaranniej — liczebnie wielki obóz ignorantów“.

„Il duce“ może być dumny ze swego portrecisty.

METAMORFOZA

OSOBY: POMOCNIK KSIĘGARSKI, GOŚĆ, KLIENT NASTĘPNY

Wspaniała Księgarnia. Kolumny jak w kościele. Wystawy w oknach jak ołtarze. Stół w środku jak mensa. Dysponent namaszczony jak gdyby mszę celebrował. Ministranci-pomocnicy księgarscy — w kitlach jak w komżach. Dzwonki przejeżdżających tramwajów jak rozmieniona na drobne sygnaturka. Nastrój — uroczystości patronowania polskiej literaturze: W powietrzu unoszą się pochowane ponownie oryginalne duchy poetów polskich i tłumaczone duchy wieszczów obcych, Eschylosa, Dantego, Byrona, Na ścianie wizerunek berła, przeznaczonego dla króla księgarzy i mecenasa poezji.

Wchodzi Gość. W całej świątyni wielka sensacja. Oddawna nikt tutaj nie zaglądał. Raz tylko świeżo ożeniony obywatel z prowincji — przez pomyłkę. Mówiono mu, że tu sprzedają gustowne obicia. Tym razem jednak pomyłki niema.

POMOCNIK KSIĘGARSKI: Czem mogę służyć szanownemu panu?

GOŚĆ: (nizki, krępy, brunet, z Krakowa) Chcę prosić pana o Wyspiańskiego, bo to, proszę pana, znałem go osobiście, nawet był parę razy u mnie, to jest, w mojej kawiarni.

POMOCNIK: Służę panu, pewnie o tę księgę chodzi, to chluba naszej firmy.

GOŚĆ: (przerzuca i trafia na portret poety) Doskonale trafiony, jak żywy! Ale to pewno bardzo dużo kosztuje?

POMOCNIK: W istocie cena jest dość wysoka, ale jeśli zważyć, ile tu wspaniałych reprodukcji barwnych, słowa Przybyszewskiego, papier, druk — to się okaże, że sprzedajemy za bezcen. To jest arcydzieło sztuki typograficznej, luksus, na który mogła sobie pozwolić tylko tak bogata księgarnia jak nasza.

GOŚĆ: Tak, to prawda (namyśla się) A czy niema np. miniaturowego wydania, takiego... niby... kieszonkowego? Albo może jest takie, żeby nie było tyle obrazków, to byłoby może tańsze... Dziś takie czasy!.. kto sobie może pozwolić na taki zbytek?..

POMOCNIK: (tłumiąc dyplomatycznie uśmiech) Bardzo żałujemy, ale niema.

GOŚĆ: (rozglądając się) Ale panowie tu pięknie mieszkanie. Pi pi pi! (Patrzy na sufit, boazerję, zagląda do sali następnej) Wie pan co, jabym może kupił tego Wyspiańskiego, ale razem z całym tym sklepem. Inne książki moglibyście panowie sobie zabrać... Co, niezła myśl? (Już śmielszy) Przecież tu i tak pies z kulawą nogą nie zajrzy. A jabym z tego zrobił, panie dobrodzieju, *café restaurant* z dancingiem, z jazz-bandem, to trzeba byłoby z półtuzina szwajcarów postawić przy wejściu, taki tłok byłby... No, co pan na to?

POMOCNIK: Pozwoli pan, że go opuszczę na chwilę i w tej kwestji pomówię z szefem...

GOŚĆ: Proszę, proszę.

(Pomocnik znika i po chwili wraca z miną rozpromienioną).

POMOCNIK: Propozycja nie jest do odrzucenia; szef w zasadzie skłania się do jej przyjęcia, tylko ma jeden skrupuł. Tak nagle przejście od księgarni i to tak wykwintnej, możnaby powiedzieć: więcej nawet niż europejskiej — do restauracji, zanadto by raziło. Czyby więc nie dało się wymyśleć jakiegoś prowizorium, żeby np. przed zainstalowaniem się pańskiego zakładu gastronomicznego, w lokalu tym mieściło się coś, że tak powiem, bardziej... neutralnego?

GOŚĆ: Zgoda! Pod warunkiem, że to nie będzie długo trwało. Mam nawet myśl. Spiszemy kontrakt, a potem na kilka miesięcy wynajmiemy sklep na wystawę, dajmy na to, samochodów... Ja sam, przyznam się, nie chciałbym, żeby w mojej restauracji zabardzo świeżo pachniało tymi tam... poetami, literatami, wszystkimi temi bibliotekami i albumami, to by mi zapeszyło cały interes. Nieprawdaż?

POMOCNIK: Istotnie, istotnie... Szef czeka na szanownego pana w swoim gabinecie. Ja pana poprowadzę.

(Wychodzą obadwaj. Reszta pracowników nie wiele rozumie, o co idzie, ogarnięta śpiączką czekania na następnego klienta).

NASTĘPNY KLIJENT — nie przyszedł.

OCENY I SPRAWOZDANIA.

MARJA PAWLIKOWSKA — „POCAŁUNKI“.

Jest to poetka, o której jeszcze nikt złego słowa nie napisał. Nie słyszałem, żeby ktoś ośmielił się spojrzeć na nią krytycznym okiem.

„Pocałunki“, są to w książce p. Pawlikowskiej czterowiersze, same czterowiersze na różne tematy. Skala ich wartości bardzo duża: od całkiem pięknych jak np. „Nietoperz“ zataczający koła wieczornych tęsknot, lub zrečný „Huragan“: „Szczęśliwe drzewa! Będą się mogły wyszumieć“, do całego mnóstwa nie nie mówiących. Wszystkie kończy poetka lirycznym nawrotem do siebie. Uczuciowa pointa jest zarazem ich efektem i smakiem. W całości nie wnoszą się ponad wierszowane subtelne aforyzmy do jednodziówki lub do sztambuchu. Ich łezka jest sucha, a półrmy jeszcze suchsze. Natomiast

zaletą ich jest zwięzłość i bardzo sympatyczne interesowanie się „atletycznym atlasem ramion“ mężczyzny. To jakby hołd dla atletyki i erotyki nowoczesnej, harmonijnie złączonych... „Pocałunki“ są zgrabne; są tylko lekkimi muśnięciami ukarminowanych warg, same tylko powierzchowne trącania stron. Mało jest zbiorzków poezji, tak miłych i tak nieszkodliwych. A jednak i tutaj—kobieca manja niania, nawlekania paciorków, rzadko tylko bywających perłami.

To co Kazimierz Tetmajer nazwał kiedyś „Pour passer le temps oktawą“ — stało się teraz u poetów, a szczególnie u poetek bezceremonialnem wygodnictwem. Talenty kobiece, całkiem niewątpliwe, czynią z poezji nie coś odświeżonego, umyślnego, wyhodowanego lub wypieszczonego, lecz szereg spojrzeń w piękne lusterko, umieszczone w to-

rebce, jednak regularnie powtarzanych, czy w teatrze, czy na koncercie, czy w kawiarni, czy w towarzystwie. To owa harfiarka z „Wyzwolenia“ St. Wyspianskiego, której uwodzenie i śpiew ma za temat: „nic“.

I. K. IŁŁAKOWICZ — „OBRAZY IMION WRÓŻEBNE“.

Jest to poetka, o której jeszcze nikt złego słowa nie napisał. Nie słyszałem, żeby ktoś ośmielił się spojrzeć na nią krytycznym okiem.

Po znakomitym „Połowiu“, p. Iłłakowiczówna nie odpocząwszy nawet „machnęła“ pięćdziesiąt imion wróżebnych. Cały kalendarz! Ona jednak skromniej siebie w Prologu nazwała: „Papuga“ i przyrównała się do barwnego ptaka na katarynce, wyciągającego kartki z wróżbami dla każdego i każdej, noszącej jakiegokolwiek imię. Ponieważ, jak dotąd, każdy obywatel Polski ma imię, a czasami nawet kilkoro — przeto jest już wielką kurtuazją, oszczędzającą cierpliwość czytelnika, że obdarzonych kartkami jest tylko pół setki. Ale — co poetka im wróży i co o ich naturze i charakterze mówi? To samo, co we wszystkich innych poezjach swoich: długie, rzadziej krótkie myśli, zakończone rymami, i słowa mocne, świetnie związane we frazy, i czasem po mężku okrutne, czasem po średniowiecznemu krwawe. Jest to katarynka mało włoska, bardziej francuska, niby muzyka nocy S-go Bartłomieja, lub angielska, jak melodia rusztowania, skrzypiącego pod stopami Marii Stuart, a jeśli już włoska, to w sensie Nieszporów Sycylijskich. Potrafi też być katarynką polską, jak w „Kazimierz“ i wtedy ten „Król Lewic Lilja“ z kobiecym imieniem jest naprawdę biały i dostojny.

Szkoda tylko, że mężkość Iłłakowiczówny zdradziła siebie samą w tej litanii imion i w tej monotonii symboliki i w tej tautologii pomysłu i w tej kanczykowości przepowiedni i w tej mechanizacji fantazji i w tym automatyzmie poezji. Przez nie bowiem wychodzi na jaw kobieta, z całą — bogatą — wyprawą ślubną, z tuzinami i półtuzinami, z zachwycającą zresztą bielizną i pudłami sreber i łyżek, noży i widelców, z serwisami z fajansu i porcelany.

Zadnego logicznego związku między imionami, a treścią pod niemi rozpisana, żadnej trafności impresji; każdy z tych obrazów może być przesunięty pod inne imię. To co się mówi o „Romanie“, może pasować do „Pawła“ i na odwrót, „Wanda“ mogłaby się zamienić z „Izabellą“, a „Tomasz“ z „Maciejem“. Gdy czytamy o „Konradzie“:

„Woła go Wieczność ustami Filozofji,
Matematyki, lub z półludzkiego wabi oblicza
Chimery“.

„Świętym matematyk, dobry muzyk, filozof
wybitny, cierpliwy pedagog od uczniów ser-
decznie kochany“ —

to zaraz myślimy o naszym sympatycznym redaktorze i wice-prezecie Konradzie Olchowiczu. A gdy czytamy o „Ignacym“, że „dziś stał się symbolem senności, biedy nieporządnej, dłoni zawsze wyciągniętej o wsparcie“ —

to oczywiście odrazu staje nam przed oczyma... Ignacy Paderewski. Nieprawdaz?

Nigdy jeszcze nie było podobnie bezpłanowego, dadaistycznego użycia i nadużycia pięknego — zresztą — słowa.

MIECZYŚLAW BRAUN — „RZEMIOSŁA“.

Jest to poetka, o której jeszcze nikt złego słowa nie napisał. Nie słyszałem, żeby ktoś ośmielił się spojrzeć na nią krytycznym okiem...

Przepraszam, p. Mieczysław Braun to mężczyzna, ale łatwo się było co do płci jego omylić. Boiem po kobiecemu poczyną sobie. Tytuł „Rzemiosła“ to naprawdę rzemiosła — ich spis, litanja: krawiec, szewc, piekarz, stolarz, zegarmistrz i t. d. Na szczęście nie trwa to przez całą książkę. Idą refleksje, ody, dytamy, elegie. We wszystkich jest nawet pewna miękkość kobieca. Gdy śpiewa o Bogu i wielkich sprawach, to powinienby się czytać np. w „Mojżesza“ Słobodnika, a żeby się natchnąć mocą słowa i gromowego akordu. Ale zdobywa się też na szlachetną, mężką, szczerą całość w „Czyściu“ i wszędzie tam, gdzie drgają bolesne echa wielkiej wojny. I na dobro odwagi cywilnej należy mu policzyć, że po alighierowsku, w wierszu „Czyścić“, wśród gwiazd umieszcza miłość, i że w możność rzeczy wielkich bez jej udziału nie wierzy. Jest daleko lepszy, gdy może być z sobą i z swym ludzkim sentymentem, niż gdy próbuje poetyzować rzemiosła. To los wszystkich, rehabilitujących bohaterstwo maluczkiej, przyziemnej pracy. Nie umieją się jeszcze zabierać do niej. Są surowi i podobni w tem do Staffa, piszącego odę do „Gnoju“, którym się tak upaja J. N. Miller. Ale, niestety nigdy gnój poezją nie będzie, częściej daleko poezja — gnojem. Inaczej bodaj do tej pracy, jako centralnego słońca nowego systemu pojęć, podchodzić należy. Wtedy nie potrzeba będzie sztucznie wyolbrzymiać igły lub dratwy, przez kładzenie w finał wiersza słów gromkich, jak „świat“ lub „wszechświat“. To jest prawdziwe: „mir nichts — dir nichts“. Tak samo właśnie J. N. Miller pakuje wszędzie, gdzie może, „żeby trudniej było zgadnąć“ — wyraz „kosmiczny, kosmiczność“ — bez żadnej asocjacji idei, bez żadnego związku z treścią zdania.

Być może, że tę manierę grandilokwii w tytułach lub terminach metafizycznych

wprowadził Lechoń. On to głównie spoufala siebie i czytelnika z Michałem Aniołem, Dantem, Leonardem da Vinci i t. p. Robi z nich tytuły albo porównania, a tymczasem w samym wierszu — ani technienia, ani cienia związku z nimi. Jest to ściśle podobne do owego plakatu z wyzmaczkami „Madame Sans Gène”. Skoro może być „Madame Sans Gène” to może być i Napoleon Bonaparte, więc oto za wyzmaczką stoi Napoleon Bonaparte. Widzieliśmy przecie tę reklamę.

Radzimy wybitnej poetycznej *dobrej wierze* p. Mieczysława Brauna, żeby takich dysproporcji unikał...

Z W R O T N I C A.

W miesięczniku krakowskim „Zwrotnica” kilku wybornie snarmonizowanych z sobą poetów i estetyków wali taranami w niedobitki murów romantyzmu. Zająć krytyczne wobec nich stanowisko byłoby nielogiką. Czy ma rację ten, co pisze „O rozumieniu” i niezrozumiałości, Zenon Drohocki, i ten drugi, co działom przeciwstawia dzieła, wdając się na chwilę w rozważania ludzkościowo-polityczne (Edward Dutkiewicz) i ten trzeci, osławiony przez swe „chamuły poezji” bluźnierca, Julian Przyboś, i sam redaktor Tadeusz Peiper — niewiemy. Akuszerką programów jest dzień jutrzejszy; on sprawdza i albo powija jako szczęśliwie urodzone, albo grzebie, jako poronione. Ale jeśli zadatkami trwałości i zapowiedzią zwycięstwa jest mocna forma, tupet przekonania, dar znajdowania nowych zwrotów i ostrość klinu — to wszyscy oni mają rację. Można się wrzynać w drętwą masę banalności dwójako; albo szerokim frontem, albo odcinkiem najeżonym bagnetami. To ostatnie jest taktyką „Zwrotnicy”. I dlatego od pierwszego do ostatniego wiersza warta jest przeczytania. Jej stanowisko to odrzucenie w poezji wszelkiej idylli, wsi, poezji natury i ludowości, to inżynierski, chemiczny konstruktywizm miasta i wynalazków. Najsurowiej i najbardziej względniej stoi przy swoim dogmacie Julian Przyboś: kult przyrody wyrósł z pod pierzyny mieszczaństwa, idącego na letnisko, albo: słońce jest najpiękniejsze wtedy gdy wchodzi kapusta; „wielbiciel przyrody — człowiek sła-

by”. Te i tym podobne dziesięciorko przykładów można by bardzo łatwo ściągnąć, jak chwasty, sierpem analizy. Ale szkoda byłaby: niech rosną, niech patrzą w stronę Paryża, niech się bezwiednie nasycają pragmatyzmem Jamesa, niech przerastają i zagłuszają zielsko bez kształtu i sensu. Fizjognomia sztuki przez to nabierze wyrazistości i jedności.

„Biały Paw” wychował się na własnej tradycji prometeizmu, intensywnizmu, dynamizmu, energetyzmu. To mu pozwoliło jeszcze kiedy był w fazie „Rydwanu” — być pierwszym, który pisał życzliwie o futuryzmie, i to mu pozwala być życzliwym wszystkim przejawom twórczej odwagi i nowego układu poetyckich pojęć, o ile w nich jest entuzjastyczne dokonywanie się do kruszczenia nowych wartości.

„PRAESENS” — KWARTALNIK MODERNISTÓW.

Pod takim samym hasłem, jak to które jest wypisane na „Zwrotnicy” krakowskiej. „Sztuka terażniejszości” — w dziedzinie estetyki teatralnej stale i gorąco powstawaliśmy przeciw galwanizowaniu trupów — stylów i — naodwrot — mordowaniu sztuk nowych, odbijających terażniejszość. Pod takim że hasłem, zrodzonym ze zrozumienia żywej atmosfery powojennego świata, i pod tytułem „Praesens” zaczęło wychodzić w Warszawie czasopismo o imponującym charakterze kooperatywy międzynarodowej artystów a głównie architektów. Niebywale obficie i objaśniająco ilustrowane, wypowiadające się po polsku i po francusku, wieloma sławnymi nazwiskami zdobne, kształtujące i wychowujące — wymaga ono znacznie szerszego omówienia, w którym nie brakowałoby fachowości w rzeczach architektury, pojętej i traktowanej w *Praesens'ie* jako fundament i jako kopuła całej terażniejszościowej odnowy sztuki.

W tej chwili tylko pokłon składamy ogólny, znakomitemu wysiłkowi, podajemy nazwiska tych, co swą wiedzą i świadomością dążenia zapełnili bogaty zeszyt: Kazimierz Malewicz, Henryk Stażewski, I. S. P. Oud z Rotterdamu, S. Syrks, B. Lachert, J. Szanajca, August Perret, Stefanja Zahorska, Stanisław Baczyński, J. Malinowski.

Ze stolicy rytmu i prawdziwej wolności, z Paryża — pismo nasze otrzymało szereg sygnałów. Część z nich podamy w numerze następnym.

Sierpniowy numer „Białego Pawia“, biuletynu artystyczno-literackiego, wychodzącego pod redakcją Cezarego Jellenty, zawiera szereg krytycznych sprawozdań z najnowszych książek poetyckich i literackich. Omówione są między innymi, książki Boy'a, Tadeusza Peipera, Juliana Tuwima, Eugenjusza Piłmieńskiego i in. Prócz tego numer zawiera kilka energicznych żywo i dosadnie pisanych artykułów o przyszłości kinematografu, o t. zw. marazmie teatralnym i projekcie ogólnej organizacji teatrów w Polsce i t. p. Całość, choć nie imponująca rozmiarami, odznacza się aktualnością i dotyka ważniejszych problemów i zjawisk z życia twórczego i kulturalnego.

NIEKTÓRE Z GŁOSÓW PRASY.

... Ostatni, sierpniowy numer tego biuletynu, wydawanego wykwintnie choć prosto, odznacza się, jak i poprzednie siłą słowa, wielką dosadnością krytyczną i tonem wybitnie niezawisłym.

„Nowa Reforma“.

WYDAWNICTWA TOW. „RAPSD“

CEZAREGO JELLENTY

1. **Jasny Hubert**, powieść. Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski. Hotel Europ.
2. **Rekonstrukcja i transkrypcja sceniczna „Samuela Zborowskiego“ J. Słowackiego**. Księgarnie Gebethnera i Wolffa.
3. **Wielki Zmierzch**, pamiętnik — powieść. Księgarnie Gebethnera i Wolffa.
4. **Rycerze Lilji**, powieść. Księgarnia F. Hoesicka, Senatorska 22, **Nowość!**
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

SPIS RZECZY:

Varsovie — Plaisir. — Drugi sygnał. — Prezzolini i Mussolini. — Metamorfoza. — Oceny i sprawozdania: „Pocałunki“ Marja Pawlikowska. — „Obrazy imion wróżebne“ I. K. Iłakowicz. — „Rzemiosła“ Mieczysław Braun. — „Zwrotnica“. — „Praesens“ Kwartalnik modernistów. — „Ze stolicy rytmu“. — „Biały Paw“. — Niektóre z głosów prasy.

Ekspedycja „Białego Pawia“ w „Domu Książki Polskiej“, Plac Trzech Krzyży 8. Sprzedaż egzemplarzy pojedynczych w księgarniach i kioskach. Adres Redakcji — Hoża 39, m 26.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od 5 — 7. Tel. 197-28.